N^er 21 Kraków 2 lipca 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

ŚWIATŁO CYWILIZACJI.

Wyżej, jeszcze wyżej! Jeszcze krok jeden po tej górze, a zapanujemy nad dolinami Italji uroczej! Towarzyszu, ożyw się, niech cię nie nęci ten bogaty gaj pomarańczowy, odpoczniemy wtenczas, kiedy się już nasycimy widokiem natury, która zdołała zniewieścić i zatopić w pieszczotach groźnego Hannibala. Ha, jesteśmy! Niebo bezchmurne; gorejące czystym ogniem słońca; powietrze napojone wonią traw i kwiatów górskich! Pod stopą twoją marmury, przed oczami krajobraz, jaki czart chyba przedstawiał Chrystusowi, kiedy go kusił królestwem ziemi. Obracasz się w koło i zdumiony myślisz o szczęściu, w którym żyć muszą mieszkańcy tych gór, tych obszarów napełnionych bogactwem. Przejęty wielkością widoku, doznajesz wzruszenia, które cię pochyla do modlitwy...

Uczucia słodyczy, miłości ku ludziom, jakby przypinały ci skrzydła. Chciałbyś być poetą, chciałbyś zabrzmieć wspaniałą nutą harmonji...

Czemuż drgnąłeś nagle spłoszony? Jakiś strzał niespodziany wyrywa cię z niebieskiej zadumy... Może to strzał myśliwca?.. I znowu huk broni — słychać jęki i krzyki.. Cóż to! Na szmaragdowym kobiercu murawy, u brzegu tego cytrynowego gaju, roi się jakiś tłum okropny, krzyczący strzelający.... To leje się krew podróżników — to zbójcy!..

I modlitwa twoja ku Stwórcy, zmienia się w dreszcz okropności. Majestat natury znika z przed oczu, czerwona krew dymi ku turkusowym niebiosom. Opuszczasz te miejsca, zmienione przez człowieka w ohydną jaskinię zbójców... Podróż twoja dalsza jest ciągłą obawą; trzymasz rękę na cynglu broni, bo każdy załom, krzew mirtowy, może ukrywać twarz zbójecką... Nie masz już czasu spojrzeć naokoło siebie i cieszyć się pięknością natury, wielkością Boga...

Dzikość i ciemnota rozciąga ponad tym uroczym krajem fatalne sieci. A zdawałoby się, że ludzie powinniby tu być aniołami, że powinny się tu krzewić obfitość i szczęście. Tymczasem urodzajne niwy leżą odłogiem; fabryk ani rzemiosł nie widać, półnadzy wieśniacy, albo polują jak sępy na podróżników, albo pędzą dni lenistwa i zezwierzęcenia. Piękność natury, która tu człowieka otacza, niczem do niego nie przemawia dzisiaj, bo jego dusza nie ma żadnego pokarmu umysłowego. Nikt tu prawie czytać i pisać nie umie, nikt nie wzdycha do lepszego bytu, nikt z miejscowych nie pomyśli o pozbyciu się tych band zbójeckich. Zabobony i przesądy mnożą się tu jak trujące grzyby...

Spojrzyjmy teraz na inne kraje; śpieszmy oto za tym podróżnikiem, który dąży brzegiem morza po zaspach śniegu, pod chmurnem niebem Szwecji. Samotność zdaje się jeszcze przykrzejszą przy silnym powiewie północnego wichru. Rzadko gdzie sterczą ze śniegu ściany skromnego domostwa. Przez trzy czwarte części roku nie widać tu nic prócz zimowych lodów i martwości mroźnej. Tu samo niebo, sam ogrom tych chmurnych przestrzeni cię przeraża. Spieszysz do ludzi, szukasz ich, uciekasz z objęć natury w objęcia braterskie. Spostrzegasz wreszcie tę wioskę, przytuloną do gromady skał nagich, pokrytych śniegiem. Już noc zapada... Czujesz, że gdybyś tu nie znalazł noclegu, musiałbyś zginąć w tych posępnych obszarach jak nędzna plewka, pomiatana wichrem. Stajesz we drzwiach pierwszego domostwa i znajdujesz się odrazu, jakby we własnej rodzinie. Widzisz, że ojciec gospodarz tej chaty, współczuje ci w przykrościach, jakie przenieść musiałeś w podróży, więc poleca żonie przygotować ciepłe jadło i prowadzi wędrowca przed komin, w którym goreje wielkie ognisko. Rozglądasz się w izbie: porządek i czystość; na ścianach obrazki portrety, w kącie szafka z książkami i gazetami. Ze wszystkiego widać, że nie ma tu obfitości, ale nie ma i nędzy. Dzieci czysto poubierane uczą się lub pracują przy matce. Izba pobrze opatrzona przeciwko mrozom; szyby duże i jasne. Nie brak tu chleba, jest i mleko, znajdzie się i mięso pożywne. A tymczasem, jest to okolica, która nie wydaje już zboża. Chleb dostają tu zdaleka. Ale ta chata rybacka, stojąca z kilku innemi, tworzy pracowitą osadę przemysłową. Nie zawsze taka cisza, mróz i samotność. W krótkich

chwilach lata, zjawiają się tu parowce angielskie i niemieckie. Robota kipi; dostawiają do tych parowców ogromne sztuki budulcu, albo rybę rzadszego gatunku. Przytem do osady tej dotyka trakt wielki, łączący się później z żelazną koleją. Tym sposobem, garstka mieszkańców rzucona w puszczę na brzeg morza znajduje swoje utrzymanie i przyszłość w pracy, z której korzysta para na lądzie i na morzu. I za pomocą tej samej pary otrzymują tu wszystko, co im do życia potrzeba. Koleje żelazne dostawiają co jest najlepszego w kraju, a parowce przywożą płody obcego przemysłu. Za pomocą tejsamej pary, w pustyniach Ameryki powstają miasta całe; człowiek łączy się z człowiekiem; jeden drugiemu jest potrzebnym; rośnie dobry byt, który dozwala ojcom łożyć na uczenie i dobre wychowanie dzieci. Przez parę, fabryki i rzemiosła, przez handel i przemysł wyradzają się wspólne potrzeby, udzielają się wiadomości, mnożą się gazety; człowiek oświeca się i poznaje jasno, co traci, a co zyskuje, z czem mu jest lepiej, a z czem gorzej; ściga rozbójników i bandytów; oświecając się patrzy z góry na przesądy i zabobony, staje się lepszym, zakłada instytucje dobroczynne, szkoły, szuka zabaw szlachetnych. Czasem jednak wynalazek tworzy nową gałęź przemysłu, która żywi miliony robotników...

Tym sposobem i biedna osada rybacka, która w czasach mało rozwiniętego przemysłu istniećby nie mogła, dzisiaj w puszczy korzysta ze wszystkich darów cywilizowanego świata.

Z jakiemż więc politowaniem patrzeć należy na tych zapleśniałych ślepców, którzy w tym rozwoju przemysłu widzą zgubę ludzi, a wiek postępu nazywają pogardliwie, lecz z pewnym strachem, *wiekiem pary i telegrafów*. Panowie! zapominacie, że i dawniej byli żebracy, biedni, chociaż ludzi było mniej daleko, zapominacie, że i dawniej bieda doskwierała ludziom.

Para nieprzeszkadza wam modlić się i czytać moralnych powieści, ale czytając je nie zapominajcie, że ta świeca, przy której siedzicie, wasze ubranie, w którem wam tak ciepło i owa maszyna do szycia, która waszej siostrze daje utrzymanie, chroniące ją od zepsucia, że większa część przedmiotów, któremi się posługujecie, wytworzyła się pod potęgą pary. Za pomocą pary panowie, możecie posyłać wiśnie warszawskie na północ i dostawać pomarańcze rwane przed trzema dniami we Włoszech. Za pomocą pary i telegrafu rozniosło się po Europie oburzenie z powodu zamordowania biednych podróżników w Grecji, to jest w kraju, posiadającym zapewne wiele wiele wspomnień i więcej jeszcze pięknego nieba, ale ani trochę parowych ulepszeń. Za pomocą pary świat staje się jakby jedną rodziną, związaną wspólnym interesem. I ta para posłuży może kiedyś do ściślejszego jeszcze połączenia wszystkich ludów, do wyplenienia nienawiści plemiennych. Minął czas sielanek. Na świecie coraz więcej ludzi, coraz więcej potrzeb. Człowiek musi myśleć, pracować i uczyć się, w tem jedynie jego zbawienie. Po cóż więc narzekać, że człowiek stał się doświadczeńszym i rozumniejszym? Jeżeli się tak boicie pary i telegrafów, to idźcie w krainę Abruzów lub na klasyczne pola Maratonu i pomieszkajcie tam czas jakiś, wy wszyscy, którzy, nawet jedząc chleb parowy, wymyślacie i długie piszecie wiersze na nędzę społeczną z powodu pary. Tam, w owych miejscach, znajdziecie wszystko w pierwotnym stanie patryarchalności, która zaiste pięknie wygląda! Praca, ruch, działalność poczciwa, oto dziś modlitwy, oto najlepsze ku Bogu westchnienie. Ludzie się mnożą, bieda się mnoży... Dalej więc w ruch machiny, telegrafy; niech świszczą lokomatywy i prują wody parowce, aby ludzie byli lepsi i aby ludziom było lepiej! Umoralnienie w naturze nie mieszka. Najwyższa moralnożć, to najwyższa cywilizacja. Wolę robotnika pędzącego z kominem lokomatywy, niż bigota, zatopionego w jałowych dumaniach wśród bogatej natury.

Józef z Mazowsza.

DWA SPOTKANIA.

(Dokończenie).

4.

W rok później mój bohater z głową opuszczoną
Na piersi — z miną smutną bardzo zamyśloną,
Choć niewiem czy co myślał, co jest małej wagi,
Oglądał w Rzymie sławnych mężów sarkofagi.
Widać bolešć mu serce do szczętu przebodła
Albo jakaś myśl smutna aż tu go przywiodła,
Gdzie umarli śnią cicho pod cyprysów cieniem,
A cisza przerywana lekkiem liści drżeniem
Modli się za ich spokój — tu o znikomości
Mógłbym wtrącić słów parę, albo o marności
Snów ludzkich — na te groby mógłbym ręką wskazać
I jak ksiądz o pokucie bardzo ładnie kazać.
Lecz dałem sobie słowo być skromnym w nauce.
Bohaterka snać także hołdowała sztuce,
I czy traf prosty czy też przypadek to zrządził,
Błądziła po cmentarzu gdzie on także błądził.
Ztąd wniosek naturalny, że się tam spotkali.
Przez chwilę na przeciwko siebie milcząc stali
Jak dwa duchy co zbiegły z grobu... et caetera!...
Chciałem być patetyczny lecz kto raz umiera,
Podobno już nie wstanie na życie powszednie.

Tembardziej że to było nie w nocy a we dnie,
Do tego jeszcze w Rzymie pod okiem Papierza...
Zamiast iść prostą drogą trącam o wybrzeża
Jak rozbitek co gnany szybką falą prądu,
Pałamie wszystkie wiosła i zdążyć do lądu
Nie może, takie właśnie położenie moje.
Nie wiem na czem stanąłem? prawda, serc tych dwoje
Spotkało się po roku u bramy cmentarza,
I jak to często w życiu powszedniem się zdarza,
Przemówili do siebie...
Ona bardzo ślicznie
Mówiła o przeszłości — a on — ironicznie
Skrzywił usta i wyjął z kieszeni surduta
Różę — Wszak nasza przeszłość uwiędła i struta
Jak ten kwiatek co listki potracił z rozpaczy.
Ja pani przebaczyłem, Bóg może przebaczy,
Dzisiaj darmo już przeszłość łzami i wspomnieniem
Budzić z grobu i duszę kołysać marzeniem;
Pani masz obowiązki męża i... karety,
Ja zwiędły kwiatek róży wzięty od kobiety,
Która wtenczas gdy kwiat ten pamięci mi dała,
Pyłem balowych uczuć listki posypała,
By nazajutrz uwiędły i... podobnej treści
Były skargi serc dwojga — tu..... koniec powieści! —

Aleksander.

WNUCZKA

Ustęp z pamiętników Wesołej Kobiety

przepisał

J. K. TURSKI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Plotki a prawda.

— Co? jego kompozycje? Ha ha ha! państwo wierzą temu. To wszystko wierutna bajka — parę rzeczy przepisał z dawnych nut jakiegoś zmarłego muzyka i popisuje się teraz niemi — sam jednak nigdy nic nie skomponował. Ale to jeszcze wszystko nic, w porównaniu do jego osoby i charakteru. Człowiek ten podejrzanego pochodzenia nie w jednem już miejscu przybierał incognito i grał w niem komedję wielkości. Wyłyga przy tém pieniądze od łatwowiernych i bałamuci młode panienki. W Warszawie odmówiono mu wstępu do wszystkich porządnych domów. Kocha się tam w jakiejś wdowie po bogatym bankierze, która mu dostarcza rubelków na hulanki, i trzyma za słowo, że się nie ożeni dotąd, dopóki ona żyje..... Iść za niego jednak nie chce, bo się wsydzi jego nazwiska, którego bez zarumienienia się, nie można w porządném towarzystwie wymówić......

— Ale pan hrabia trochę zapomniał, rzekł na to wzruszony i oburzony mój dziadek — że ten tak skandaliczny człowiek, jest naszym przyjacielem, i żeby może wypadało trochę oszczędzić nas od takiej mowy....

— Przebacz Pan, rzekł na to infamis, ale ja życząc jak najlepiej pannie Paulinie, nie mogę zostawiać państwa w błędzie... Moim obowiązkiem jest, choćbym i przykrość memi słowy sprawił, powiedzieć Państwu całą prawdę.

— A jeżeli byśmy też nie mogli poczytywać tego za prawdę, rzekł w tedy mój dziadek nie zważający na obrazę, jaką wyrządzał impertyneckiemu przyjacielowi naszemu, coby Pan hrabia na to powiedział.

— Powiedziałbym, że Państwo nie znacie swoich przyjaciół, i przyjmujecie w swym domu...

Tego było już zanadto dla mego dziadka. Delikatny i uprzejmy zawsze dla wszystkich, póki go kto nie uraził lub nie rozdrażnił — stawał się surowym i groźnym nawet dla każdego, kto tylko bez szacunku i lekkomyślnie poważył się uwłaczać jego domowi. Z całem więc oburzeniem odezwał się po niecnych słowach pana hrabiego:

— Panie hrabio! zapominasz się pan....

— Pana to obraża, ale to jest święta prawda...

— Więc kiedy tak... to stoją panu otworem drzwi z takiego domu, w którym przyjmowano oszustów...

— Panie! zawołał powstając...

— Proszę — rzekł drżący z gniewu dziadek, i wskazał ręką na drzwi.

— To impertynencja!...

— Tak jest! — godna jego osoby...

— Ależ możemy się porozumieć, mówił na to pomięszany hrabiez.

— Mnie tu ani interwencja księcia Napoleona nie pomoże — rzekł wtedy mój dziadek, ostygnąwszy nieco z pierwszego gniewu na widok tak bezecnelnego tchórza i kłamcy...

— Możem się za ostro wyraził...

— Nie cofam mego słowa... proszę... dodał mój dziadek utrzymując się w swojej godności — i potém wyszedł z salonu, zostawiwszy w nim osłupiałego exwirtuoza.

Chwilkę postał — podumał — lecz po chwili zabrał swój paryzki kapelusz od najsławniejszego paryzkiego kapelusznika i wybiegł — i bez pożegnania pojechał. Pojechał i więcej nie wrócił. Mnóstwo potém krążyło plotek o konkurach niefortunnych pana hrabiego, on zaś utrzymywał uporczywie, że naprożno doktór

*

Antoni, starał się wszelkiemi sposobami złapać go na męża dla swéj wnuczki, bo on nie myślał łączyć się z familją dorobkiewicza, i stanowczo do oczu samej Pannie wypowiedział swoje zdanie w tym względzie.

— Powiedziałem pannie, mówił przed pewnym znajomym naszym z Krakowa, że jakkolwiek dosyć mi się jej buziak podoba, jednak przebaczy mi, iż jako hrabia nie mogę się żenić tylko z hrabianką. Dziewczę się rozpłakało, mówił sławny przyjaciel Dumasa, żal mi go nawet było trochę, ale wyperswadowawszy jej ile było w mej mocy, pożegnałem ją na zawsze. Słyszę że odchorowała tę rekuzę. —

Tymczasem nie rekuza hrabiego Zygmunta, ale inny był powód rzeczywistéj mej choroby, w którą w krótce po jego ucieczce z naszego domu zapadłam. Poniosłam bowiem cios okropny, jaki mi niebo zgotowało, otwierając okropnem cierpieniem wędrówkę mego życia pełną później samych cierni i ostów. — Przez całe pięć miesięcy nie mając żadnej wieści o Józefie, przypuszczając wprawdzie, że chory, przypuszczałam jednak, że także i zapomniał już o mnie, skoro nie mogąc, dajmy na to, sam osobiście zjechać do nas, ani słóweczka nie donosił nam o sobie. Tymczasem jedno się tylko sprawdziło moje przypuszczenie. Biedny nasz Józef był bardzo niebezpiecznie chory. Przyjechał bowiem do nas pan Jan W. z Warszawy, który był niemal umyślnym posłem Józefa do nas. Był to adwokat warszawski i jeden z najlepszych przyjaciół nieszczęśliwego muzyka. Przeraził mię okropnie jego przyjazd; domyślałam się odrazu jakiegoś nieszczęścia, a to mianowicie po jego przedstawieniu się; wymieniwszy bowiem swoje nazwisko, nazwał się przyjacielem Józefa, który go wtajemniczył w cały serdeczny stósunek, jaki go łączył z naszym domem. Struchlałam, słusząc te słowa — i domyśliłam się połowy nieszczęścia. Biedny Józef zaraz po powrocie z ostatniej swej wycieczki położyć się musiał do łóżka, z którego dotąd nie powstał.

— Bardzo bolesnem jest moje posłannictwo, mówił nadzwyczaj miły i serdeczny, chociaż wcale nie przystojny, pan Jan, ale spełniam je na usilne prośby mego kochanego przyjaciela, który mię do niego zaklął w imię przyjaźni, i całego szacunku, jaki mam dla niego.

Ja ze łzami słuchałam jego opowiadania, lecz miałam jakieś takie od razu doń zaufanie, że mi się zdało, iż to brat mój jest, przed którym nie powinnam się wstydzić moich uczuć.

— Trzeba tedy państwu wiedzieć, mówił z całą szczerością pan Jan, że Józef w rok zaraz po przyjeździe do Warszawy, popadł w nieszczęśliwe sidła pewnéj pani, której się podobno ubrdało w głowie, że młody i przystojny artysta zakochał się w niéj szalenie. Była to wdowa po bogatym bankierze, kobieta z dobrem wychowaniem i wcale przyjemna. — Poznał ją Józef w domu swego krewnego bankiera, i ona odrazu zbliżyła się ku niemu, narzucając się wyraźnie z swoją przyjaźnią i opieką. W rzeczywistości nie zła to była kobieta i znajomość z nią nie byłaby nikomu przykrą, gdyby się z swą troskliwością nie narzucała zbytecznie. Zaraz tedy kazała się Józefowi sprowadzić do swego pałacyku — oddała do użytku całe drugie piętro, i chciała nawet jak matka o wszystkiem a wszystkiem pamiętać. Lecz nie będę państwa nudził szczególowym opisem wszystkich tych przykrych drobnostek, jakie mego przyjaciela do najwyższego stopnia zraziły, i nawet wstręt w nim ku niej obudziły. Upłynęło tak lat parę. Rodzice Józefa i rodzeństwo zjeżdżali czasami do Warszawy, a wtedy pani Kajetanowa przyjmowała ich zawsze najserdeczniej i przesadzała się w uprzejmym dogadzaniu ich potrzeb. Wreszcie Józef zachorował na piersi. Było to powodem nadsilnej pracy, której się po całych dniach oddawał. Lekarze polecili mu wyjazd do gór i do kąpiel. Ileż to było ambarasu zanim ta kobieta zezwoliła na wyjazd jego. Zrazu chciała sama jechać z nim, lecz gdy jej tę niedorzeczność wyperswadowano, przystała pod warunkiem, jeżeli Józef zobowiąże się do pisywania do niéj z każdej stacji... Przystał na to biedny męczennik przyjaźni, a skoro powracał chcieliśmy koniecznie, aby zajechał do Krakowa. Zajechał tam wprawdzie, ale codzienne niemal listy pani Kajetanowej nie dawały mu spokoju, Gdyśmy mu zaś przedstawiali, iż dla własnego zdrowia powinien to zrobić, aby więcej do niej nie wracać — wtedy prosił nas, aby się tej kobiecie nie sprzeciwiać, bo on czuje dla niej taką wdzięczność, za jaką życie warto poświęcić. — A jednak pomimo tych słów widzieliśmy dobrze wszyscy, że go uległość tej kobiecie bardzo wiele kosztowała, że wolałby uwolnić się od niej — byle tylko nie okazać się niewdzięcznym. Zrobiliśmy więc własne i przez sławnych lekarzy poparte przedstawienie pani Kajetanowej aby pozwoliła dłużej pobyć Józefowi w Krakowie. Cóż państwo na to powiecie, że ona przyjechała do Krakowa. I dotąd siedziała przy nim, dopóki znowu razem nie wrócili do Warszawy. Różne ztąd naturalnie tworzyły się plotki, chociaż rzeczywistej a bardzo prostej prawdy nikt nie chciał pojąć ani zrozumieć. Była to niezwykła u ludzi materjalnych przyjaźń mężczyzny do kobiety i nawzajem, oparta na szczerym szacunku i wyższem jeszcze od miłości uczuciu. Ja znający dokładnie serce i charakter Józefa wiem, że tak było a nie inaczej, co zaś inni mówili i paplali — na to niezważałem tak samo, jak i Józef, który zwykle mawiał: Opiniją u mnie moje własne sumienie. Trzeba być prawym człowiekiem, aby brać tak rzeczy jak on brał — ale też on jest duszą i sercem najprawszym między nami.

Tak mówił pan Jan, i dzisiaj sama widzę że miał słuszność, wówczas jednak słuchając jego słów, trochę samolubnie patrzyłam się na rzeczy i zdawało mi się, że taki stosunek nie był tylko prostą przyjaźnią. — Bo-

łało mię to uleganie Józefa kobiecie, którą sobie zawsze wyobrażałam jako moją rywalkę. Byłaż to zazdrość?.... Być może.

Lecz wracam do opisania reszty nieszczęścia.

Po ostatniej wycieczce, mówił dalej pan Jan, Józef nie wstępując już wcale do Krakowa, zajechał wprost do Warszawy i zaraz nazajutrz czuł się tak osłabionym że nie wstawał z łóżka. Przybyły natychmiast lekarz, sprowadzony przez panią Kajetanową, a dobry przyjaciel Józefa, orzekł, iż trzeba będzie choremu dłużej wypocząć w łóżku, z czegośmy się bardzo zmartwili, a sam biedny chory zmieszał się okropnie i bardziej od nas okazywał swoje zmartwienie.. Najwięcej go to bolało, że grać nie mógł. Ja, który prawie codzień musiałem się z nim widywać, odwidzałem go teraz często i dwa razy na dzień — pani Kajetanowa nie odstępowała od jego łóżka, i ściśle wszystkich przepisów lekarza przestrzegając, była aż do przesady skrupulatną nie pozwoliła mu nic pisać ani tém bardziej komponować, co on robił czasami leżąc w łóżku, nie pozwalała mówić wiele, i nas odwiedzających przestrzegała prawie niegrzecznie, abyśmy nie byli pokusą dla chorego, dawszy nawet niektórym z nasz wyraźnie do zrozumienia, iż lepiejby było, gdyby tak często nie przychodzili. Józefa te gniewało, ale choroba rozwijała się w zatrważający sposób. — W miesiąc może, kiedy zwołani na koncilium lekarze, tajemniczą miną swoją i łacińskiemi frazesami dali nam smutne dowody swej obawy o chorego, Józef po ich odejściu przywołał mię do siebie, i kazał zostać dłużej. Zostałem. Wtedy wziąwszy mię za rękę tajemniczym głosem zrobił mi wyznanie ciążącego mu na sercu obowiązku. Państwo darują iż powiem, że obowiązek ten odnosił się do domu Państwa. Józef opowiedział mi swój przypadek w drodze i wizytę u Państwa. Uczucie z jakiem mi to wszystko opowiadał było tak szczere jak szczerą i szlachetną dusza jego, łzy miał w oczach, gdy ubolewał nad tém, że nie napisał nic do Państwa.

— Ale widzisz, mówił do mnie po cichu, czy mogę tu pisać. Najprzód lekarz zakazał, a potem zakazuje ciągle moja pani Kajetanowa, której dobroć i czułość już mi się dają we znaki. Ale wiesz co? Daj mi ty teraz papier i pióro — ja naprędce parę słów napiszę, a ty wyślesz podług adresu.

Nie mogłem mu się sprzeciwić — podałem wszystko, ale on... nie mógł napisać ani słowa.. Ręka mu drżała... w oczach się ćmiło.. pomimo więc największego wysilenia, opuścił głowę na poduszki i westchnąwszy serdecznie, zawołał: Nie mogę... Była to dla mnie chwila bardo bolesna.

— O ileż ja biedna śród tego opowiadania cierpiałam. Wszystkie moje przypuszczenia i obawy o jego niepamięć, zwróciły się teraz przeciw mnie. Jakżeż byłam niesprawiedliwą, myślałam, posądzając go o zapomnienie wtedy, kiedy on tak okropnie cierpiał, a zawsze o mnie pamiętał. Oby mu tylko Bóg pozwolił jak najprędzéj przyjść do zdrowia.

— Mimo tego osłabienia, opowiadał daléj pan Jan, udało się Józefowi napisać ołówkiem świeżą kompozycją, która właśnie co wyszła u Gebethnera; i Wolfa. Przywiozłem ją państwu. To mówiąc wydobył z torbki podróżnéj arkusz nut, na których były te słowa wydrukowane. W. pannie Paulinie ..... w dowód szczerego szacunku i przyjaźni poświęca Józef..... dopisano zaś wyraźnie drżącą ręką ołówkiem: na pamiątkę mojego w jej domu pobytu. Z rozkoszą nietajoną odebrałam tak miły upominek od poczciwego Józefa i poznałam, że to była owa dumka zaimprowizowana na moim fortepijanie w owéj chwili naszego pierwszego poznania.

— Te nuty, ciągnął dalej Jan, kazał mi Józef samemu doręczyć Pani, wymógłszy na mnie najsolenniejsze przyrzeczenie, że do państwa przyjadę, opowiem wszystko o nim i jego pamięci, oraz w zamian dowiem się wszystkiego o Pani i o szanownym Panu Dobrodzieju, którego nie może wspomnieć bez wzruszenia. — Takie jest moje posłannictwo. Bardzo mi przykro, że takie bolesne, nie mogę bowiem ani tego państwu powiedzieć, żeby się i dziś zdrowie Józefa polepszało. Jest on mocno chory., i cała jego i lekarzy nadzieja w wiośnie, na którą też z utęsknieniem czekamy.

O! straszna i bolesna była to dla mnie próba, gdym odebrała taką okropną wiadomość o tym, który był wszystkich myśli i uczuć moich przedmiotem! Okropne przeczucie, którego wyprowadzić nie mogłem, cisło się gwałtem do mego serca — i truchlałam na samo jego wspomnienie.

Poczciwy pan Jan, który całą podróż tak daleką odbył dla miłości swego przyjaciela, a mnie tak drogiego człowieka — zabawił jeszcze dzień jeden w naszym domu, i od niego dowiedziałam się jak wysoko najprawdziwsi znawcy cenią talent Józefa, i jak znakomitą rokują przyszłość jego kompozycjom. O pani Kajetanowéj dowiedziałam się także, że nie miała żadnych miłosnych pretensji do niego, lecz że silna i gorąca przyjaźń przywiązała ją do niego jak do syna. Z prawdziwie macierzyńską miłością pielęgnuje go w czasie choroby, uspokajając listownie rodzinę jego, która jednak właśnie w tych dniach zjechała do Warszawy. Opowiadał mi pan Jan o poczciwym ojcu Józefa dużo dobrego. Jestto staruszek już w podeszłym wieku, ale blond jego włosy nie posiwiały jeszcze wcale — dwie piękne i podobne do Józefa siostry oraz dwaj młodsi bracia stanowią jego całą rodzinę najbliższą. Bogaty ów bankier, daleki kuzyn matki, troskliwie pamięta o chorym i nieszczędzi swéj szkatułki na jego kurację.

Z wielkim smutkiem żegnaliśmy odjeżdżającego pana Jana. Jako szczerego bowiem i prawdziwego przyjaciela Józefa, pokochaliśmy go wszyscy serdecnie, bo téż i zresztą tak sercem jak i wykształceniem godnym był naszego szacunku.

Uprosiliśmy go, aby nam o stanie zdrowia Józefa donosił często, a ja dałam mu za wiedzą dziadka napisany bilecik, który jednak doręczyć miał choremu wtedy kiedy uzna, iż mu nie zaszkodzi rozdrażnieniem.

Straszna żałoba osiadła odtąd w naszym dworze. Poczciwy dziadek szanując moje czyste uczucie i mój ból, nie kusił się wcale o daremne dla mnie rozrywki — Nikogo nie przyjmowaliśmy prawie, oprócz dwóch starych przyjaciół dziadka, którzy z nim grywali w wista. Ja zmieniłam się, jak mówił dziadek nie do poznania, a najmilszą mi była rozrywką bolesne wspomnienie gry na fortepijanie, do którego zawsze z bijącém sercem zasiadałam. — Listy nadchodzące z Warszawy od pana Jana nie przynosiły nam żadnéj pociechy. Stan zdrowia Józefa był ciągle jednakowo zatrważający. Ja już straciłam nadzieję... ranki i wieczory modliłam się ze łzami w oczach, o jego zdrowie — ale czułam że modlitwy moje więcéj były przepełnione wyrzutami zwątpienia — aniżeli w ich wysłuchanie....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYMYTA PODŁOGA.

RAMOTKA Z ŻYCIA PROWINCJONALNEGO

PRZEZ

WŁODZIMIERZA ŁADĘ.

I.

Pani Piwczyna.

Idzi — Serwacy — Bartłomiej, trzech imion Piwczyński, w głębokich myślach pogrążony, przechadzał się po swym pokoju. Na jego pełnem obliczu widoczna troska i niepokój; zatrzymywał się co chwila, wzdychał, rachował coś na palcach, a potem uchylał ranną czapeczkę, która pokrywała jego nazbyt wyniosłe czoło, i to czoło, czyli mówiąc prozaicznie — łysinę, naciskał pulchną dłonią i pocierał w melancholicznej zadumie, jakby zeń chciał wydobyć jakieś głęboko ugrzęzłe myśli. Od czasu do czasu zbliżał się do biórka, na którem leżał arkusz papieru, ujmował pióro, kreślił kilka wyrazów przemazywał je, znów rachował na palcach, i widocznie coraz więcej zakłopotany, rozpoczynał na nowo przechadzkę wzdłuż i wszerz pokoju.

Jakie powody zmartwienia mógł mieć pan Idzi — Serwacy — Bartłomiej? Stodoły jego były przepełnione; śliczne krówki tyrolskie z tradycji tylko wiedziały cóś o księgosuszu, robota w gorzelni przechodziła wszelkie oczekiwania. Sąsiedzi, pana Piwczyńskiego nie nazywali inaczéj, jak bogaty Bartek — lub: szczęśliwy Bartek. A jednakże, sądząc z zafrasowanego oblicza, z nerwowych ruchów, z tęsknie zadumanych spojrzeń, pan Idzi nie był szczęśliwym.

Znów postąpił parę kroków, zatrzymał się, pomyślał chwilę — i szybko zawrócił się do biórka.

— Teraz... teraz mam go! szepnął półgłosem sam do siebie i porwał za pióro. — Tak będzie dobrze.... piszmy: Zrodzon... z odwiecznych... hałasów...

Łoskot klamki przerwał bieg myśli pana Idziego. Położył pióro i powstał, aby otworzyć drzwi na klucz zamknęte.

— Kto tam? zapytał idąc.

— To ja; otwórzże, Dziuniu! ozwał się głos kobiecy i równocześnie klamka przestała poruszać się, a natomiast zatętniło głośne i coraz szybsze pukanie.

— Zaraz, zaraz, Liziu! odparł pan Idzi flegmatycznie.

— Prędzéj, nie mam czasu!

— A cóż tak pilnego? zapytał pan Idzi otwierając.

Pani Lizia stanęła w progu i nie odpowiadając na zapytanie męża, zaczęła wodzić badawczym wzrokiem po oknach, ścianach i podłodze.

— Liziu! duszko! serce! czy znowu?.. zapytał błagalnie pan Idzi. — Przecież tydzień zaledwie...

— Dziuniu! proszę cię, nie wtrącaj się do kobiecego gospodarstwa.

— Ależ niema tygodnia...

— Żeby i codzień. Niema w tobie najmniejszego poczucia porządku i czystości. Patrz! okna zapylone, kurz na ścianach, posadzka jak komin...

— Przecie wczoraj woskowana!

— Ale dziś brudna. Nie rozumiem, Dziuniu, jak możesz wytrzymać w tym pokoju. Ale tobie to wszystko jedno! Aby tylko wygoda i spokój, co ci znaczy, że na stole funt pyłu, że pajęczyna wisi po kątach, że....

— Pajęczyna? a gdzież ją widzisz?

— Serwacy! nie gniewaj mnie. Idź sobie gdzie chcesz; do salonu, na ganek...

— Więc doprawdy?

— Trzeba wymyć okna, posadzkę.

— Zmiluj się, zostaw choć posadzkę!

— Nie sposób. Porządek przedewszystkiem.

— Ale pamiętaj, Liziu, że za cztery dni imieniny Natalki; jeśli dziś każesz szorować, to chyba przyjmiemy gości na niefroterowanej posadzce.

Pani Lizia zawachała się.

— A pani hrabina będzie także bezwątpienia, dodał mąż.

— Szkoda, szkoda! rzekła wzdychając pani Lizia. — A mam dziś taki gust do mycia!

— Masz go co dzień, duszko.

— Serwacy, widzę, że chcesz mnie rozgniewać. Ale przynajmniej każę przetrzeć okna i wymieść pajęczynę, kurze....

— Liziu! powiem ci coś:

Znika pył i pajęczyna,
Gdzie spojrzy pani Piwczyna.

Serwacy! nie nadużywaj mej cierpliwości. Zawsze ci w głowie tylko niedorzeczne rymy.

— Przecie wiesz, Liziu, że cała okolica nazywa cię: pani Piwczyna.

— Wiem, wiem... to moja kara, że dałam się nakłonić i poszłam za ciebie, ja, z domu szlacheckiego.

— Moje kochanie, choć nie szlachcic, ale i ja przecież coś wart jestem. Najprzód mam majątek; powtóre...

— Bazgrzę głupie wiersze, przerwała żona.

— Głupie!.. moje wiersze... głupie!? Kobieto maszże ty sumienie? Ja, twórca nowej szkoły polityczno-allegorycznej, ja, co dla wielkiej idei zbratania emancypowanej wolności z racjonalnym socializmem, wystawiam się na ucisk i prześladowanie...

— Daj mi pokój z twoim socializmem. Czytasz mi zawsze jakieś bajki ni w pięć ni w dziewięć, i mówisz, że to polityka.

— Bo nie rozumiesz allegorji! zawołał tryumfalnie pan Idzi. — W tem właśnie sztuka! ukryć tak głęboko myśl polityczną, aby ją mógł odgadnąć tylko mąż głębokiego ducha i prawdziwy patryota!... poczekajno, jak to było?..

Zrodzon z odwiecznych hałasów
Bodziec wszechświata,
Oświeca w przestrzeni czasów
Ubiegłe lata.

— A co?

— Nie rozumiem.

— Bo to dopiero początek, duszko. Jest to oda polityczna, pod tytułem: Noc i słońce. Noc, to znaczy...

Tu pan Piwczyński obejrzał się do koła, podszedł ku drzwiom, otworzył je, spojrzał, czy kto nie podsłuchuje, wrócił do żony i rzekł zniżając głos:

— Noc to absolutyzm despotyzmu... słońce, to era wolności konstytucyjnej; rozumiesz?

— Nic a nic.

— Widzisz, w tem sztuka. Pod allegorją można pisać wszystko, a uniknąć prześladowania.

— Dobrze dobrze. Ale tymczasem zabieraj twoje papiery i idź sobie rymować gdzieindziej.

— Idę, idę. Ale pamiętaj, Liziu, zostaw posadzkę jak jest, bo hrabina przyjedzie niezawodnie.

— Dobrze; idź już idź.

Pan Piwczyński zabrał papiery z biórka i zmierzył ku drzwiom; lecz nagle zatrzymał się.

— Czegóż chcesz jeszcze? zapytała pani Piwczyna. Mów prędzej, bo niemam czasu.

— Powiedz mi, Liziu, bo to... wiesz duszko, że się nie mięszam w kobiece gospodarstwo... ale... co ci tak zależy na znajomości z hrabiną?

— Ślicznie się nie mięszasz! co tobie do tego?

— Przepraszam cię, serce... ale...

— Mówisz zawsze że tylko kobiety są ciekawe. Ale kiedy chcesz, to ci powiem: oto mam zamiar ożenić hrabiego Henryka z Natalką.

Pan Idzi skrzywił się.

— Co znaczą te miny, Serwacy? zapytała energicznie pani Lizia.

— Nie gniewaj się, duszko, ale... nie jestem za tém.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEATR.

„Zbójcy“. Dzieło dramatyczne w 5 aktach p. *Fr. Schillera* tłomaczył *J. N. Kamieński.*

Po wyjeździe p. Modrzejewskiej, publiczność powitała na scenie Teatru Krakowskiego, znakomitego artystę Teatrów Warszawskich p. *J. Królikowskiego.* — Nie pamiętamy aby publiczność nasza, której wszyscy recenzenci zarzucają chłód i obojętność dla sztuk pięknych i artystów, przyjmowała kogo z takim entuzjazmem, tak szczerze i gorąco, jak p. *J. Królikowskiego.* — Wszystko cobyśmy o talencie znakomitego artysty powiedzieć mogli, byłoby powtórzeniem pochwał i uwielbień, któremi zapełnione są krytyki o grze pana *Królikowskiego.* — Artysta olbrzymiem talentem a pracą doszedł, śmiało powiedzieć możemy, tam, gdzie się panuje wszechwładnie. W zdobytym przez siebie świecie sztuki stoi dzisiaj — jeden, potężny i panujący! W roli Franciszka Moora widzieliśmy raz pierwszy p. *Królikowskiego.* W grze artysty są chwile straszne i przerażające spokojem, z jakim człowiek myśli nad wyszukaniem środków do zbrodni najochydniejszej — ojcobójstwa. — Chciwość i namiętność biją o pierś człowieka, aby zeń wykuć posąg zbrodniarza. — W grze p. Królikowskiego wszelkie złudzenie niknie, a rzeczywistość wpaja się w umysł widza i przeraża prawdą. —

Żaden tam wyraz nie ginie bez znaczenia — dla deklamacji; każde słowo ma właściwy sobie wyraz twarzy, i właściwy ruch ciała. — Namiętność na twarzy artysty gra całym wulkanem ognia, chciwość i przestrach malują się we wszystkich odcieniach upodlenia. Aby dojść do tych rezultatów potrzeba głębokich studjów nie tylko nad sztuką, ale znać koniecznie wszystkie przepaści duszy człowieka, z których głosy popychające ludzi do zbrodni lub do bohaterskich czynów wychodzą.

Pan *Królikowski* zdobył w grze swojej całą skalę uczuć duszy ludzkiej — najniższy i najwyższy ton jej. Szyderstwo, gniew, radość, śmiech, wszystko to odbija się na twarzy artysty wiernie aż do zdumienia! Są tacy, z grona nawet artystów tutejszej sceny, którzy utrzymują że p. *Królikowski* w „Zbójcach" menażował się w pierwszych dwóch aktach. — Nie możemy zgodzić się przecież na to zdanie; byłaby to krzywda, którąby sam sobie artysta musiał wyrządzić. — Pan Kr. właściwie tylko pojął i *zrozumiał* rolę Franciszka Moora, — i dla tego w pierwszych aktach widzimy Franciszka, który sam, prawie bierną odgrywa rolę w dramacie, cała jego akcja ogranicza sie przygotowaniem do dzieła. Namiętność i chciwość Franciszka ma jeszcze żelazne pęta na sobie ojca i brata. — Z zamiarów swoich jeszcze nie zwierzył się nikomu nawet samemu sobie, chociaż są chwile, jak w pierwszym akcie z Amelją a następnie w ogrodzie, w których widz przeczuwa we Franciszku zbrodniarza niepospolitej szkoły. — Pan Królikowski zatem nie potrzebował zużywać więcej sił nad te, które z użył — a gra jego była tak kompletną i wykończoną, że tylko można ją uwielbiać.

Drugą ważną postacią w Zbójcach jest Karol Moor którego grał pan. *S. Wardzyński*, także z Warszawy. Młody to jeszcze bardzo talent z niezaprzeczoną przyszłością, rola jednakże Karola nie dla pana Wardzyńskiego. Główną wadą gry p. W. jest brak wszelkiej scennicznej rutyny — deklamacja bez najmniejszej akcentacji, która mogłaby bardzo dobre wywołać wrażenie w salonowem towarzystwie, gdyż głos p. W. jest nadzwyczaj melodyjny i sympatyczny, ale na scenie jest zawsze deklamacją bez żadnego znaczenia.

Pan *Wardzyńki* tak nie umie zastosować giestu do deklamacji, i tak jeszcze nie jest zdolny pogodzić akcję z wyrazami, że niestosowną czasem akcją uprzedza następne sceny — np. w chwili kiedy Karol odbiera list donoszący mu o wydziedziczeniu, o zdradzie kochanki i przekleństwie ojca. — Pan W. biorąc list do ręki nie wiedząc jeszcze co w nim są za wieści, robi tak okropny wyraz twarzy, że każdy przyznać musi iż artysta pospieszył się z mimiką cokolwiek. — Widocznie że p. W. jest w szkole — przypuszczamy nawet że w dobréj — ale i w to wierzyć musimy że z niej jeszcze nie wyszedł.

W końcu wspomnieć nam wypada koniecznie o p. *Fiszerze* w roli Spiegelberga. — Młody ten artysta zwraca coraz więcéj na siebie uwagę publiczności i zapowiada piękną przyszłość. Śmiałość i pewność siebie dwa przymioty niezbędne artyście — cechują grę p. Fiszera, głos miły i wyraźny jest także nie małą zaletą. — Zwrócić jednakże musimy uwagę p Fiszerowi na jeden; zawsze ten sam ruch ręki, którego używa we wszystkich ustępach, gdzie mu coś opowiadać przyjdzie. — Przez takie *nawyczki* artysta staje się *jednakowym* we wszystkich rolaah i łatwo *powszednieje*. Radzibyśmy częściej widzieć na scenie p. *Fiszera* i w więcej ważnych rolach — wiemy bowiem że największą krzywdę przynosi artyście negliżowanie jego talentu. — Słówko to raczy przyjąć od nas p. reżyser tutejszego Teatru.

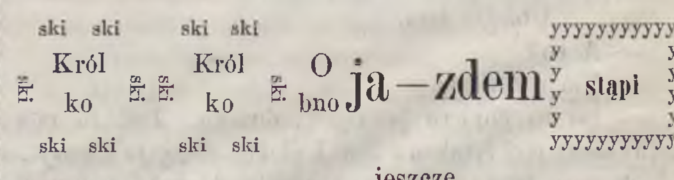
OD ADMINISTRACJI „KALINY."

Szan. pp. Prenumeratorów, którzy zalegają z prenumeratą na kwartał 2gi, prosimy o nadesłanie takowej — oraz o spieszne odnowienie na kwartał bieżący.

Od Redakcji.

Z powodu że przesyłka mód z Paryża wiele wymaga czasu — i że z tej przyczyny w przeszłym kwartale opóźniliśwy się z rozesłaniem takowych p. prenumeratorom „Kaliny" — mody i wzory, oraz kroje dołączać będziemy 15go każdego miesiąca.

REBUS.



Znaczenie Rebusa w N. 10. Muzie Krakowskiej niedostaje Muzy. —

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.